№ 52 Warszawa, dnia 18 (30) Grudnia 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.—Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym roku 1883 **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25

Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50

Rocznie . . . . . rs. 5

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3.**

Ucisz się!

Wiersz ofiarowany pesymistycznej poezyi.

Ucisz się! jękiem jak pajęczyną
Osnuty duchu w przepaści własnej,
Krzesząc ogniska, co w mroku giną,
Próżne tej treści za silnej, jasnej!
Chrzęst twoich skrzydeł roznosi cienie,
I rzuca skazy na jutrznie życia;
Rośnie łza blada, marne pragnienie,
Zapał ślimacze bierze powicia.
To głębi twojej chmurna źrenica,
Dostrzega tylko nędze i plamy,
Drogi bez celu, mdłe ludów lica —
Ciemne, koszlawe dzieł Bożych ramy.

Ucisz się! skarga otwiera żądze,
Lecz myśli wieku z posad nie wzruszy,
W świątyni czynu drzemią wrzeciądze —
Słowa i serca tu, do tej głuszy!
I kto tam kwili, kto ręce łamie,
Gdy w okrąg leżą prac wieku bryły?
Otwórzcie oko, podnieście ramię —
Tu potęg życia kruszcowe żyły!
Nie każdy pojmie *skąd idzie — po co?*
Ludziom, narodom wytknięta droga:
Gdzie ród się wiąże — strzechy się złocą,
Tam ołtarz czynów, tam palec Boga,
Tam ziemia woła: bierzcie mnie całą!
I wkrąg otacza ciepłem ramieniem —
Daję wam skarby, wznoście mnie chwałą,
Wy bracia chrzczeni jednem imieniem!
To już cel życia — doziemskie cele
Leżą w promiennych tajnikach ducha,
Łuna wieczności drogę mu ściele,
Z potęg wszechbytu jak wulkan bucha.

Ucisz się! Płoną Boga ołtarze,
Choć ich strażniki noszą skaz brzemię...
To syny czasu, to ludu twarze:
Nie oni winni — winne ich plemię.
I te ponure, głuche opoki,
Gdzie nędza tlejąc zapala zbrodnię,
To łez bez celu stężałe soki,
To duchu zwątpień — twoje pochodnie!
Gdy wiara schyli zdeptane skrzydła,
Cóż miłosierdzie obudzi: moda?
Kto przylgnie sercem do nędz straszydła,
Kto rzeszy we łzach dłoń bratnią poda!

Ucisz się duchu, motylu biały!
Czyż twej żałobnej myśli nasienie
Kwiat życia tuląc, doda mu chwały?
Tu głodnych dźwignia, chleb i zbawienie?
Lilja w grze słońca brylantem pała,
W pomroku nocnym jak szmata zwisa:
Czemuż tej ziemi nawa wspaniała,
Dla ciebie głuchym tronem Elblisa!
Czem pieśń twa lotną piętrząc się chmurą,
Lud ten łaknący darzy zwątpieniem!
Badania w zgodzie z ludzką naturą,
Lecz któż chleb dany płaci kamieniem?
Więc w ruchu dziejów — postępu — bytu,
Tryumf odnoszą rajskie li węże?
Myśl wieszcza głazem krzepnąc u szczytu,
Krom zwątpień z siebie nic nie wylęże?
Więc hasła wieków — te mas pragnienia,
Głuche nicości bagno pochłania,
Tu mądrość ludów nie ma strumienia,
Duch błędne tylko ognie urania?
Więc serc ofiarnych szczytne pomniki,
Z porywów marnych stoją *nie z siły?*
Przebóg! co znaczy ten wykrzyk dziki,
Kogo do jakiej chce pchnąć mogiły?
„My” to promienie przeszłości wrzącej,
Przez mgły i znoje w drodze do szczytu;

Nas strzegą groby blaskiem płonące,
I oko możne w zwojach błękitu,
Choć stopy nasze ciernie ubodły,
Dłonie szerokim wiążą się wianem,
I płyną społem dzięczynne modły,
Że Bóg serc naszych jest tylko panem.

Romania Kamieńska.

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

(Dalszy ciąg.)

Wstał bardzo rano i przy wszystkich drzwiach zamkniętych, sam na sam z Pauliną, liczył i przeliczał pieniądze rozkładając na stole ową setkę luidorów, jak największy skąpiec, znajdując przyjemność w ich widoku i dotknięciu. I to wszystko jego! jego! a raczej jego biednych.

— Tylko nie trzeba się śpieszyć, księżę proboszczu — mówiła stara Paulina — trzeba być oszczędnym. Mnie się zdaje, że rozdawszy dziś ze sto franków...

— To nie dosyć, Paulino, to nie dosyć. Raz w życiu mieć będę dzień taki, ale mieć go będę!... Wiesz Paulino, ile ja chcę dziś rozdać?

— Wiele naprzykład, księżę proboszczu?

— Tysiąc franków.

— Tysiąc franków!

— Tak, teraz milionowymi panami jesteśmy! Posiadamy wszystkie skarby Ameryki. I ja miałbym oszczędzać? W każdym razie nie dzisiaj!... Zresztą nawet nie mam i prawa.

Mszę odprawiwszy, o dziewiątej wyszedł z domu i deszcz złoty począł się lać po drodze. Wszyscy część swą dostali, i ubodzy, którzy się uskarżali na swoją nędzę, i ci co ją ukryć się starali. Każdej jałmużnie towarzyszyła jedna przemowa:

— To pochodzi od nowych właścicieli Longuevalu, dwóch Amerykanek, pani Scott i miss Percival. Zapamiętajcie dobrze ich nazwiska i módlcie się za nie dzisiejszego wieczora.

Potem uciekał co prędzej nie czekając na podziękowania, przez lasy, przez pola, z wioseczki do wioseczki, z chaty do chaty, szedł dalej a dalej. Rodzaj upojenia go opanował. Wszędzie po jego drodze, krzyki radości i podziwienia się rozlegały. Wszystkie te luidory spadały jakby cudem, w te biedne ręce przyzwyczajone do odbierania drobnych tylko pieniędzy. Proboszcz robił nawet szaleństwa, prawdziwe szaleństwa, nie poznawał sam siebie, nie władał sobą. Dawał tym nawet którzy o nic nie prosili.

Spotkał Tomasza Rigal, starego sierżanta, który jedną swą rękę zostawił był w Sewastopolu, dobrze już siwego, białego nawet, bo czas prędko bieży, a żołnierze kampanii krymskiej wkrótce będą starcami.

— Masz — rzekł proboszcz zatrzymując go — masz oto dwadzieścia franków.

— Dwadzieścia franków! alež ja o nic nie proszę, ja nic nie potrzebuję. Mam moją pensyą. Pensya jego!... siedmset franków!

— A więc — odpowiedział proboszcz — niech to będzie na cygara, ale słuchaj dobrze, to pochodzi z Ameryki.

I powtarzał swoją mówkę o nowych właścicielkach Longuevalu.

Wstąpił do jednej poczciwej kobieciny, której syn, miesiąc przedtem, odpłynął był do Tunetanii.

— Więc jakże, twój syn, jak mu się powodzi?

— Nieźle, księżę proboszczu, wczoraj miałam list od niego. Ma się dobrze, nie źle mu się dzieje, tylko narzeka, że krumirów nigdzie nie ma. Biedny chłopiec! Zaoszczędziłam trochę od miesiąca i zdaje się, że będę mogła posłać mu dziesięć franków.

— Poszlesz mu trzydzieści... Weź to...

— Dwadzieścia franków! księżę proboszczu, dajecie mi dwadzieścia franków!

— A tak, daję ci je.

— Dla mego chłopca?

— Dla twego chłopca... Tylko, słuchaj dobrze, trzeba żebyś wiedziała zkąd to pochodzi i pamiętaj, powtórz to synowi, jak będziesz pisać do niego.

I proboszcz, po raz dwudziesty, powtórzył swój mały panegiryk pani Scott i miss Percival. O szóstej wrócił do siebie upadający ze znużenia, ale z radością w sercu.

— Wszystko rozdałem! – zawołał jak tylko zobaczył Paulinę — wszystko rozdałem, wszystko, wszystko!

Zjadł obiad i wieczorem poszedł odprawić majowe nabożeństwo, ale w chwili gdy wchodził na stopnie ołtarza, organek milczał. Miss Percival już tam nie było.

Mała wirtuozka wczorajszego wieczora, w tej właśnie chwili była bardzo zakłopotaną. Na dwóch kanapkach w jej gabinecie tualetowym leżały dwie strojne suknie, jedna biała, druga niebieska. Bettina rozmyślała w którą z nich się ubrać, na dzisiejszy wieczór do Opery. Znajdowała, że obie są śliczne, a tu tylko jedną z nich wybrać należało. Nie mogła się ubrać jak tylko w jedną. Po długich wahaniach, na białą wreszcie się zdecydowała.

W pół do dziesiątej, obie siostry zajeżdżały przed teatr Wielkiej Opery. Kiedy wchodziły do swojej loży, kurtyna się podnosiła przed drugim obrazem drugiego aktu *Aidy*, akt marszu i baletu.

Dwóch młodych ludzi, Roger de Pugmartin i Ludwik de Martillet, siedzieli w pierwszym rzędzie jednej z lóż przysceniczných. Panny z corps de baletu nie weszły jeszcze na scenę, a ci panowie, nie mając co robić, zabawiali się rozpatrywaniem po sali. Ukazanie się miss Percival, uczyniło na obu silne wrażenie.

— A! a! — rzekł Pugmartin — ot jest i mała sztabka złota!

Obaj lornetki swoje zwrócili na Bettinę.

— Ach! jakże dziś piękna, ta sztabka złota! — mówił Mortillet — Patrz... Istne cudo... Ta linia szyi... te ramiona!...

— Prawda, zachwycająca!... a przytem i wcale dostatnia. Ba! ba!

— Piętnaście milionów! podobno, piętnaście milionów do niej samej należących, a kopalnia srebra zawsze jednakowo wydaje.

— Berulle mówił mi dwadzieścia pięć milionów... On bardzo biegły w rzeczach amerykańskich.

— Dwadzieścia pięć milionów! piękne banko wygra Romanelli!

— Jakto! Romanelli?

— Wieść chodzi, że z nią się żeni, rzecz podobno już zdecydowana.

— Tak, zdecydowana, idzie zamąż, ale za Montessana, nie za Ramanellego. A! nareszcie, otóż i balet!

Przestali mówić. Balet w *Aidzie* trwa pięć minut, a oni obaj tylko dla tych pięciu minut przychodzili. Należało nacieszyć się nim z uszanowaniem, z religijnem przejęciem, bo to jest szczególnem u wielu, ciągle na operze bywających, że paplą jak sroki, kiedy należałoby milczéć ażeby módz słuchać, a zachowują najprzykładniejsze milczenie, kiedy możnaby rozmawiać i patrzéć.

Bohaterskie trąby *Aidy* wydały już swe ostatnie dźwięki na cześć Radamesa. Przed wielkiemi sfinksami, pod zielonemi liśćmi palm olbrzymich, błyszczące i świecące grono baletniczek scenę zajęło.

Pani Scott z wielką przyjemnością i zajęciem przypatrywała się ewolucyom baletu; ale Bettina nagle się zamyśliła, spostrzegłszy w loży naprzeciw, po drugiej stronie sali, młodego człowieka słusznego wzrostu, mocnego bruneta. Miss Percival sama z sobą prowadziła rozmowę i mówiła:

— Co robić, na co się decydować? Czy mam iść za niego, za tego wielkiego ładnego chłopca, co siedzi tam naprzeciwko i oka ze mnie nie spuszcza, bo on na mnie tak patrzy... Przyjdzie tu za chwilę, podczas antraktu, a kiedy przyjdzie... dość mi będzie powiedziéć: „Rzecz skończona! oto moja ręka... Będę pańską żoną.” I stałoby się! Księżną, byłabym, księżną, księżną Romanelli! Księżna Bettina!... Bettina Romanelli! To jakoś dobrze się składa, ładnie dźwięczy w uszach... Czy księżna pani przyjmuje? Powóz księżnej pani już zajechał... Czy bawiłoby mnie być księżną?... Tak i nie... Pomiędzy tymi wszystkimi młodymi ludźmi, którzy od roku, tu w Paryżu, uganiają się za mojemi pieniędzmi, ten książę Romanelli, że wszystkich jeszcze najznośniejszy... Jednakże potrzeba abym się zdecydowała, jednego z tych dni, wyjść już zamąż... Zdaje się, że mnie kocha... ale ja... czy ja go kocham?... nie, nie wierzę temu... a jednak, takbym chciała kochać!... tak lubiłabym kochać!...

W tejże samej chwili kiedy te myśli błąkały się po ślicznej główce Bettiny, Jan sam jeden w swym gabinecie siedział przy biurku, mając przed sobą w świetle lampy, ogromną księgę, którą przerzucał, wypisując coś z niej i notując. Była to historya wojen Tureniusza. Miał on sobie powierzone prelekcye dla podoficerów pułku i starannie przygotowywał wykład jutrzejszy.

Tymczasem, pośród notatek tego rodzaju jak: Nordlingen 1645 r., les Dunes 1658 r., Mulhausen i Turckheim 1674 — 1675 r., nagle ukazał się szkic leciutki. Jan wcale dobrze rysował. Portret kobiecy, sam z pod pióra jego się pojawił. Co ona przyszła tu robić, wśród zwycięztw i walk Tureniusza, ta młoda, śliczna kobietka? A potem, czy to Pani Scott, czy miss Percival?... Jak wiedzieć? One tak bardzo do siebie podobne!... I Jan powoli niechętnie, wracał do historyi wojen bohatera.

W tejże samej chwili jeszcze, ksiądz Konstanty, klęcząc u swego małego łóżeczka, z wielkiem skupieniem ducha i całą siłą gorącego serca, wzywał błogosławieństwa nieba nad dwoma kobietami, które mu dały tak słodki i tak szczęśliwy dzio-

nek przepędzić. Błagał Boga, aby błogosławił pani Scott w jej dzieciach, a miss Percival dał męża według jej serca.

V.

Dawniej Paryż należał do Paryżanów i to dawniej, od nas nie tak bardzo daleko; trzydzieści lub czterdzieści lat co najwięcej. Francuzi w tej epoce byli panami Paryża, jak Anglicy są panami Londynu, Hiszpanie Madrytu i t. d. Czasy te już nie istnieją. Są jeszcze granice dla wszystkich innych krajów, dla Francyi nie ma ich wcale. Paryż stał się olbrzymią wieżą Babel, miastem międzynarodowem i powszechnem. Cudzoziemcy przyjeżdżają nietylko dla zwiedzenia Paryża, ale przybywają tłumnie, aby w nim mieszkać.

Mamy już teraz w Paryżu kolonią rosyjską, kolonią hiszpańską, kolonią wschodnią, kolonią amerykańską, te kolonie mają swoje świątynie, swoich bankierów, swoich lekarzy, swoje dzienniki, swych kapłanów, a nawet swoich dentystów. Cudzoziemcy zdobyli już na Paryżanach znaczniejszą część Pól Elizejskich i bulwaru Malherba; rozszerzają się, postępują naprzód; Paryżanie się cofają wyparci przez inwazyą i zmuszeni są do ustąpienia z ojczyzny. Zakładają więc kolonie paryzkie na równinie Passy, na równinie Monceau, w miejscowości które przedtem wcale nie były Paryżem, a które teraz nie są nim jeszcze całkowicie.

Pomiędzy temi cudzoziemskiemi koloniami, najliczniejszą, najbogatszą i najświetniejszą, jest kolonia amerykańska. Jest chwila w której Amerykanin czuje się dość bogatym, Francuz zaś nigdy. Wtedy Amerykanin się zatrzymuje, odpoczywa trochę i oszczędzając kapitał, już z dochodami się nie rachuje, umie wydawać; Francuz zaś umie tylko zbierać.

Francuz zna tylko jeden prawdziwy zbytek, swoje rewolucye. Mądrze i ostrożnie zbiera i przechowuje dla nich, wiedząc że bardzo dużo Francyą będą kosztować, ale też jednocześnie będzie można i korzystnie umieszczać kapitały. Budżet kraju jest tylko wielką pożyczką ciągle otwartą. Francuz mówi sobie:

— Zbierajmy! zbierajmy! składajmy! Będzie temi dniami, nie dziś to jutro, jakaś rewolucya, pięcio-procentowa renta spadnie na pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt franków. Wtedy jej nakupię. Ponieważ rewolucye są nieuniknione, starajmyż się przynajmniej z nich korzystać!

Mówią ciągle o ludziach przez rewolucye zrujnowanych a tymczasem większa jest może liczba tych co na nich się wzbogacili.

Amerykanie bardzo silnie ulegają atrakcyjnemu wpływowi Paryża. Nie ma na świecie miasta w któremby łatwiej i przyjemniej można było wydać dużo pieniędzy. Z powodów rasy i pochodzenia, wpływ ten atrakcyjny, działał na panią Scott i na miss Percival w sposób silniejszy jeszcze.

Najbardziej francuzką ze wszystkich kolonii, jest Kanada, która już do Francyi nie należy. Wspomnienie pierwotnej ojczyzny, słodko i potężnie trwa dotąd w sercach emigrantów w Quebeku i Montredu. Suzie Percival otrzymała od matki swojej wychowanie czysto francuzkie i ona z kolei, wychowała swą młodszą siostrę w tejże samej miłości pierwotnej ojczyzny. Obie siostry czuły się być Francuzkami, co więcej, Paryżankami.

Skoro więc tylko ta lawina milionów spadła na nie, jedna chęć w nich zapanowała: mieszkać i żyć w Paryżu. Pragnęły wyjazdu do Francyi, jak się pragnie powrotu do ojczyzny. Pan Scott opierał się nieco.

— Kiedy ja tu nie będę — mówił on — chociażbym corocznie przyjeżdżał na dwa lub trzy miesiące do Ameryki, dla przypilnowania interesów, dochody was obu niechybnie się zmniejszą.

— Cóż to znaczy! — odpowiadała Suzie — jesteśmy bogate, bardzo bogate, zanadto bogate... Jedźmy, proszę cię... Będziemy tak kontente, tak szczęśliwe!

Pan Scott dał się nakłonić i Suzie w pierwszych dniach stycznia 1880 roku, mogła list następujący napisać do swej przyjaciółki, pani Katie Norton, która od lat kilku zamieszkiwała w Paryżu.

„Zwycięztwo! rzecz postanowiona! Ryszard się zgodził. Przyjeżdżam w kwietniu i zostaję francuzką. Ofiarowałaś się wziąć na siebie wszystkie przygotowania do naszego osiedlenia się w Paryżu. Jestem okropnie niedyskretną... Przyjmuję.

„Chciałabym, skoro tylko stanę na miejscu, od razu używać Paryża, nie tracić mego pierwszego miesiąca na bieganiach po tapicerach, karetnikach, handlarzach koni i tym podobnie. Chciałabym, wysiadając z wagonu, zastać na dworcu kolei *mój* powóz, *mego* stangreta, *moje* konie. Chciałabym jeszcze, tegoż dnia, ciebie mieć na obiedzie *u siebie*. Najmij albo kup ładny pałacyk, przyjmij służących, wybierz powozy, konie, liberyą. Niech liberye będą błękitne, oto jedno cię proszę. Ten wiersz dodany na żądanie Bettiny, która za mną stoi i przez ramię patrzy co ja piszę.

„Przywozimy do Francyi tylko siedm osób: Ryszard swego kamerdynera, Bettina i ja, nasze dwie panny służące, dwie guwernantki do dzieci, a nadto dwóch *groomów*, Toby i Boby, którzy za nami konno jeżdżą. Jeżdżą konno ze skończoną doskonałością... Dwa małe pieścidełka: jednego wzrostu, jednych kształtów, prawie jednakich twarzy; nigdy byśmy nie znalazły w Paryżu dwóch groomów lepiej dobranych.

„Wszystko zresztą, ludzi i rzeczy, zostawiamy w New-Yorku... Nie, nie wszystko, zapomniałam jeszcze o czterech poneyach, cztery klejnociki, czarne jak smoła z białemi pęcinami u wszystkich czterech nóg, bez żadnej między czterema różnicy, nie miałyśmy serca rozstać się z niemi. Zaprzęgamy je do nizkiego kabryoletu, prześliczny zaprząg! Bardzo dobrze wozimy w lejc, my obie, ja i Bettina. Wszak u was kobiety mogą, bez wielkiego skandalu, z rana, bardzo wcześnie, wozić same czwórką po lasku? U nas to uchodzi.

„Szczególnie, moja droga Katie, nie oszczędzaj pieniędzy... Rób szaleństwa. Oto wszystko o co cię proszę."

Tegoż samego dnia jak pani Norton list ten otrzymała, rozeszła się wiadomość o bankructwie pewnego Grandvilla, wielkiego spekulanta, który nie miał węchu, *wietrzył zniżkę* kiedy należało mu *zwyżkę zwietrzyć*. Ten Grandville, sześć miesięcy temu, wprowadził się do nowiuteńkiego pałacu, nie mającego innej wady tylko za nazbyt krzyczącą wspaniałość.

Pani Norton natychmiast podpisała kontrakt najmu, sto tysięcy franków rocznie, z prawem nabycia pałacu wraz z umeblowaniem za dwa miliony franków, w ciągu pierwszego roku zamieszkania. Jeden z najbardziej wziętych tapicerów, podjął się poprawić, nadać delikatność i ułagodzić przesadny zbytek niesmacznego i krzyczącego umeblowania.

Po ukończeniu tej pierwszej sprawy, przyjaciółka pani Scott była tak szczęśliwą, że mogła jednocześnie wynaleźć i umówić dwóch pierwszorzędnych artystów, bez których żaden dom wielki nie może być urządzony i prowadzony.

Najprzód więc, kuchmistrza mającego powszechne uznanie, który właśnie opuszczał starożytny pałac na przedmieściu Saint-Germain, chociaż z wielkim żalem, bo podzielał zasady arystokratyczne. Z niechęcią nawet i przykrością decydował się wejść w obowiązek u mieszczan, u cudzoziemców.

— Nigdy — mówił on pani Norton — nie byłby porzucił służby u pani baronowej, gdyby utrzymywała dom swój na dawnej stopie... ale pani baronowa ma czworo dzieci... dwóch synów, którzy dużo tracą i robią szaleństwa... i dwie córki, które niedługą zamąż powychodzą. Potrzeba będzie wypłacić im posagi. Dlatego też pani baronowa musi się oszczędzać teraz i dom na mniejszą skalę prowadzony, już dla mnie staje się nieodpowiednim.

Ten kuchmistrz tak dystyngowany, postawił swoje warunki, jakkolwiek przesadzone, nie ustraszyły one panią Norton, która wiedziała iż ma do czynienia z artystą istotnie znakomitym, ale on, nim zgodził się ostatecznie, prosił o pozwolenie telegrafowania do New-Yorku. Potrzebował zasięgnąć wiadomości o swych przyszłych panach. Odpowiedź była pomyślną. Zgodził się zatem.

Drugim artystą był koniuszy, bardzo rzadkich i bardzo wielkich zdolności i znawstwa, który się był oddalił zebrawszy już niezły majątek. Zgodził się jednak na urządzenie i dozorowanie stajen pani Scott. Zastrzegł sobie, że będzie mieć wszelką swobodę w wyborze i kupnie koni, że nie będzie nosić liberyi, że sam wybierze stangretów, groomów i ludzi stajennych, że nigdy na stajni nie będzie mniej nad piętnaście koni, że żadne kupno ani umowa z siodlarzem i karetnikiem, bez niego nie zostanie zawartą i że nie siądzie na kozioł tylko z rana, *w ubraniu miejskiem* i to jedynie dla dawania lekcyi powożenia paniom albo dzieciom, jeśli tego będzie potrzeba.

Kuchmistrz objął w swe posiadanie piece i rądle, a pan koniuszy swe stajnie. Reszta była już tylko kwestyą pieniędzy i w tym względzie pani Norton szeroko użyła swego pełnomocnictwa. Zastosowała się zresztą do poleceń jakie otrzymała. W krótkim czasie dwóch miesięcy, prawdziwych dokazała cudów, aby instalacya państwa Scottów była jak najzupełniejsza i bez zarzutu.

I oto w jaki sposób, kiedy dnia 15 kwietnia 1880 r., p. Scott, Suzie i Bettina, pospiesznym pociągiem przybyli z Hawru i wysiedli na dworcu przy wybrzeżu św. Łazarza, zastali tam panią Norton, która po przywitaniu, rzekła do pani Scott:

— Masz tu na dziedzińcu swój powóz odkryty, za nim jest lando dla dzieci, a dalej omnibus dla służących. Na wszystkich trzech powozach są twoje monogramy, powożone są przez twych stangretów i powożone twojemi końmi. Mieszkacie pod Nr. 24 przy ulicy Murillo, a oto jest *menu* waszego dzisiejszego obiadu. Zaprosiłaś mnie dwa miesiące temu, przyjmuję i nawet ośmielę się przyprowadzić ci z piętnaście osób. Widzisz że dostarczam wszystko, nawet i gości... Ale uspokój się, znasz ich wszystkich, to nasi wspólni przyja-

ciele... i dzisiejszego wieczora, będziemy mogli ocenić przymioty twego kuchmistrza.

Pani Norton wręczyła pani Scott małą elegancką karkę ze złotą obwódką, na której wypisane były te słowa: *Menu obiadu d. 15 kwietnia 1880 roku*, a pod spodem: *Consommé à la parisienne, truites saumonées au beurre vierge*, etc.

Pierwszym Paryżaninem, który miał zaszczyt i przyjemność oddać hołd należny piękności pani Scott, był mały kuchcik lat piętnastu, który w swem białem ubraniu i koszem na głowie, znajdował się przy powozie, gdy stangret pani Scott wyjeżdżając z bramy dworca, musiał na chwilę wstrzymać konie, z powodu natłoku powozów. Kuchcik stanął jak wryty na trotuarze, wytrzeszczył zdumione oczy na obie siostry i w swej naiwnej admiracyi na cały głos wykrzyknął:

— A! niechże je!...

Kiedy widziała siwiejące swoje włosy i tworzące się zmarszczki, pani Récamier mówiła do jednej ze swych przyjaciółek:

— Moja droga, już żadnych sobie iluzyi tworzyć nie mogę. Od dnia w którym spostrzegłam, że mali kominiarze nie odwracają się aby patrzéć na mnie kiedy przechodzę ulicą, zrozumiałam, że wszystko już skończone.

Zdanie kuchcików warte, w tym wypadku, tyle co i zdanie kominiarczyków... Ale wszystko nie było skończone dla Suzie i Bettiny, przeciwnie, dla nich wszystko się zaczynało.

W pięć minut potem, powóz pani Scott przejeżdżał bulwarem Hausmana, równym kłusem dwóch przepysznych karecianych koni. Paryż liczył dwie paryżanki więcej.

(*D. c. n.*)

DO ALGIERU

przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES.

Przekład

J. Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

Widok okolicznych wiosek odrywa od tych pozagrobowych obrazów. Są one po większej części nieuprawne, wśród ogromnych płotów kaktusowych, wiją się wązkie ścieżyny, po których zaledwie mogą się przesuwać kobiety arabskie, dążące pokornie sa swymi panami i władzcami jadącymi na wielbłądach. Tu i owdzie rozwesela wzrok kępa drzew zdobiących rzadko rozrzucone ogrody, należące nie do krajowców, bo tym nie przyszłoby do głowy zakładać ogrody — ale do konsulów zagranicznych mieszkających w Tangerze.

Zwiedziliśmy te oazy; jakże czarująco piękne. Tu wieczna panuje wiosna w całym przepychu swego rozkwitu. Były to pierwsze dni lutego, a jednak wszelkie najrzadsze rośliny, z takim trudem przechowywane w naszych cieplarniach, kwitną tu i rozrastają się swobodnie na wolnem powietrzu. Rozkoszna woń kwiatów, cudna przejrzystość nieba, ziemski raj czynią z tej krainy.

Na zawrócie ścieżki, przy źródle tryskającem u stóp bambusa, spotkaliśmy młodą murzynkę z dzbankiem na ramieniu, idącą zaczerpnąć wody. Kilka białych okrywających ją szmat, uwydatniało jeszcze hebanową czarność jej ciała. Na ręku po za łokciem, miała matową złotą obrączkę i takiż duży pierścień na palcu — była to oznaka, że nie jest niewolnicą. Zdaje się przestraszyła ją nieco nasza obecność, bo tak w jej, jak wszystkich tutejszych muzułmanów przekonaniu, chrześcianin i cudzoziemiec jest synominem wroga. Jednak odpowiedziała na nasze pytania bez wielkiego zakłopotania. Powiedziała, że urodziła się z rodziców niewolników i sama była niewolnicą pewnego miejscowego kupca, który dobrze się z nią obchodził i umierając niedawno, udarował wolnością. Zdawało się, że biedna murzynka więcej ubolewała nad śmiercią dobrego pana, niż cieszyła się uzyskaną wolnością. Łatwo pojąć, że wolność niepokoi i przestrasza istoty, u których skutkiem długiego jakby uwięzienia moralnego, wola i wszelka inicyatywa osobista jest, że tak powiem, przydusz[?]ona. Dałem pieniądz biednej Aissie — nie zmieniła jeszcze tego imienia, które nosiła jako niewolnica — jej twarz czarna jak noc, rozpromieniała i w uniesieniu wdzięczności prosiła rzewnie, aby jej pozwolić ucałować ręce moje. Patrząc na dziki i słodki zarazem w tej chwili wyraz jej twarzy, pomyślałem sobie, że może pod tą czarną powłoką kryje się jasna dusza, zdolna tak czuć i kochać jak i najucywilizowańsze istoty.

Zbliżaliśmy się do Kasba, gdzie mieliśmy poznać charakterystyczniejsze jeszcze rysy tego zaeuropejskiego świata. Minister rezydent francuzki raczył dodać nam jednego z żołnierzy gwardyi cesarskiej, wyznaczonych do strzeżenia jego siedziby. Był on wysoki i tęgi; miał na głowie wysoką czerwoną czapkę, przypominającą nakrycie głowy Spartakusa, ale tym razem nie była ona symbolem wyzwolenia, lecz godłem despotyzmu. Z pod szerokiego, białego jak śnieg burnusa, za każdym powiewem wiatru ukazywały się krótkie czerwone pantaliony przytrzymywane pasem, od którego zwieszała się ogromna zakrzywiona szabla z cizelowaną rękojeścią. Szedł przed nami z imponującą miną, odsuwając z drogi wyniośle skinieniem lub nawet laską, bydło i ludzi, którzy natychmiast zatrzymywali się i usuwali przed nami, z pośpiechem natchnionym zarazem uszanowaniem i bojaźnią.

Gdy nareszcie stanęliśmy przed budynkiem nieco mniej zniszczonym niż inne, a który mimo swej rozległości wcale nie wyglądał na pomieszkanie a tem mniej na fortecę, żołnierz nasz przybrał bardzo uroczystą minę i rzekł poważnie: „Oto jest Kasba, pałac Baszy!"

Wprowadzono nas na pierwszy dziedziniec. Pod murem, przy wejściu do nizkiego i ciemnego korytarza siedziała gromadka żołnierzy. Patrząc na tych ludzi sennych, owiniętych w swe burnusy, nikomu nie przyszłoby do głowy, że są tam na straży, a przecież strzegą więzienia. Wchodzimy do rodzaju przedsionka źle bardzo zamkniętego, ztamtąd przez wybity w murze otwór dostrzegliśmy w ciemności licznych więźni, którzy probując chodzić dzwonili kajdanami. Straszny to był odgłos. Według objaśnień nielitościwego zwierzchnika strażników, znajdowało się tam wielu ważnych przestępców i złodziei, dwóch morderców i jeden nieszczęśliwy właściciel ziemski z okolic Tangeru. Ostatni tem zawinił iż nie chciał zapłacić nałożonego nań przez władzę podatku, czyli raczej obedrzeć z większej części swego majątku. A zdarzyło się właśnie, że basza bardzo potrzebował pieniędzy. Na swoją zgubę, biedak chełpił się przed kimś ze znacznego swego majątku zebranego zresztą wytrwałą i uczciwą pracą. Pozwoliłem sobie zrobić uwagę, że z biednym tym więźniem postąpiono okrutnie i niesprawiedliwie, dodając iż zdaje się należałoby mieć dla niego większe względy niż dla zamkniętych z nim razem złodziei i morderców. Ale nadzorca więzienia był przeciwnego zdania. „Ależ przeciwnie! zawołał. Nie wyjdzie z więzienia dopokąd nie przystanie na oddanie całego swego mienia, oprócz tego co już zabrać mu zdołano, kiedy przeciwnie więźniowie będący na koszcie skarbu, niezadługo zapewnie wypuszczeni zostaną."

Ma się rozumiéć, że w czarnej tej jaskini nie ma żadnych rejestrów ani kontroli, nic coby potwierdzało stanowisko i tożsamość więźnia. Aresztują jednostki mniej więcej winne jakiegoś przestępstwa, a najgłówniej poważających się bronić, aby nie zostali złupieni i odarci ze wszystkiego, zamykając razem w tej norze, z której los tylko lub fantazya nadzorcy wyzwolić ich może.

Wtem zawiadomiono, że Basza pragnie nas przyjąć. Sprawdziwszy wprzód jak drogo okupić trzeba opór jego woli, pośpieszyliśmy stawić się na jego zaproszenie. Wysoki pasaż, ozdobiony jak zwykle werniksowanemi fajansami, prowadzi do obszernego *patio* otoczonego portykami, pokrytemi po części białym marmurem. Kolumny są wytworne, kształt kapiteli przypomina wierzchołek palm. W samym środku basen marmurowy i niezbędna fontanna. Z pod portyków wchodzi się do apartamentów kobiecych, do izb niewolników, oraz do dwóch salonów w stylu czysto maurytańskim, z których jeden stanowi sypialnię Baszy, a w drugim tenże daje posłuchanie. Zgodnie z urządzeniem widocznem dotąd w starożytnych pomieszkaniach pompejańskich, salony takie oświetlane są z góry, przez dwa wązkie otwory zaopatrzone w kolorowe szyby, przez które przedziera się zaledwie jakieś tajemnicze światło, skłaniające raczej do rozmarzenia niż do pracy, gdyż do niej byłoby niedostatecznem. Wzdłuż ścian stoją otomanki i leżą szeregi poduszek, różnych kształtów i pokryć, niepozbawione pewnej elegancyi — ale nic tu nie wskazuje życia choć trochę czynnego, nic nie zdradza ani cienia jakichś zajęć umysłowych.

W podobnem miejscu pobytu chyba marzyć tylko można. Ale o czem? O polityce? broń Boże! niewolno; pod tym względem panuje tu zastój i nieruchomość. O religii? a toż na co, skoro wszystko jest *napisane*. O rodzinie? Ależ ona tu prawie nie istnieje, przynajmniej tak jak my ją rozumiemy — a tak w *patio* jak pod portykami, uwijają się tylko niewolnicy i parę małych murzyniąt, nie wiedzieć czyich. Adiutant przybrany w turban i jasny kaftan, poprzedzony przez dwóch czarnych niewolników, wprowadził nas do wielkiej sali, kosztowne makaty pokrywały jej ściany. Sufit w kształcie kopuły, jest rzeźbiony z cedrowego drzewa i ozdobiony złoceniami. Tuż pod nim piękne mozajki odtwarzają wersety z koranu w wytwornie powikłanych arabeskach, które sami Arabowie z trudnością tylko odczytać mogą.

Wschodnim zwyczajem, gubernator siedział w rogu otomanki; przyjął nas dobrotliwym ruchem kładąc rękę na sercu. Jest to starzec z pogodnem wejrzeniem, z uśmiechem na ustach, jednak przebiegłość i chytrość przebija w jego twarzy. Piękna biała broda budzi poszanowanie. Mówią, że jest bardzo stary, ale że w tym szczęśliwym kraju nie spisują nigdy aktów urodzenia, nikt, nawet on sam, nie wie z pewnością ile ma lat. Patrząc na

bogaty jego turban, czerwoną jedwabną szatę, pas fiołkowy haftowany złotem, i na całą jego postać, mimowolnie przychodzą na myśl trzej magowie. Nie można jednak ufać zbytecznie spokojnej jego powierzchowności, jak o tem przekonywają opowiadane nam fakta z jego urzędowania, bardzo dobrze uważane przez potomków władzców wschodu, ale potępiane przez nas, skutkiem zapewnie zbyt zakorzenionych przesądów europejskich.

Przed kilku laty, sułtan zawezwał swego gubernatora do Fezu, żądając zdania rachunku ze swego ogromnego majątku, gdyż szanowny basza, dzięki swemu zdzierstwu i dokonywanym gwałtom, zebrał największe w całem państwie bogactwa. Umiał nagromadzić, nie umiał utaić wielkiego majątku i drogo błąd ten przypłacił. Wrócił do swej prowincyi jako najbiedniejszy z baszów — ale miał władzę i siłę, co w tym kraju prędko prowadzi do majątku.

A czy siła ma iść przed prawem, czy prawo przed siłą, nikt się nie kłopocze i nie łamie sobie nad tem głowy w Maroko, gdzie prawo istnieje tylko w legendach. To też zacny gubernator jako dobry patryota, wierny tradycyonalnym zwyczajom swego kraju, otoczywszy się żołnierzami, udał się w objazd swojej prowincyi. Nakładał arbitralnie nader ciężkie podatki na wszystkie miasta i wioski, najczęściej przechodzące możność biednych mieszkańców, a jeźli natychmiast nie spełniano jego rozkazów, dawał trzy dni czasu do namysłu, po których jeźli nie zapłacono ile żądał, kazał nielitościwie podpalać domy nieposłusznych. Zazwyczaj jednak groźba jego wystarczała i tym sposobem po dwóch czy trzech takich objazdach administracyjnych, odrobił utracony majątek i mógł obecnie rozkoszować się tak zasłużonym wypoczynkiem.

Gdy na skinienie Baszy, niewolnicy podali nam krzesła europejskie, zacząłem mówić o Francyi. „Francuzi, rzekł życzliwie i z wielkiem uznaniem gubernator, to naród wielki i silny, lubię go. Wiem że wielkie nieszczęścia dotknęły Francyą, ale Ałłah dozwolił jej odzyskać prędko utraconą chwilowo potęgę."

Zapytałem następnie czy interesuje go kwestya Wschodnia, która wtedy właśnie trzymała Europę w zawieszeniu między pokojem a wojną. „I po cóż miałbym się tem zajmować, odrzekł Basza; nie mogę i nie pragnę zresztą czytać obcych gazet, a ponieważ, szczęściem, żadna nie wychodzi w naszym kraju, nie mam ani sposobności ani ochoty zajmować się polityką. Wiem jednak, że tak w tym jak w wielu rzeczach, pojęcia nasze bardzo się różnią od waszych. Większość ludów europejskich ponadawała sobie konstytucye, po to aby niebawem ograniczać je lub zmieniać, oraz prawa dla przyjemności gwałcenia ich i podchodzenia — my nie mamy ani praw ani konstytucyi, co jest daleko logiczniejsze i chroni nas od rewolucyi. Zapewniano mnie, że zajmujecie się oświatą ludu i z wielkim trudem i kosztem rozwijacie jego umysł—i jakież tego następstwo? Oto lud się podnosi a wy poniżacie. Zaprowadziliście także owo tak zwane, jeźli się nie mylę, głosowanie powszechne, a przez to tym co są we wszystkiem maluczcy i marni, dajecie przewagę nad wszystkiem co jest szlachetne, bogate, uczone. Rozmawiam czasem o tych kwestyach z pełnomocnikami obcych państw, a to co mówią odstręczyłoby mnie na zawsze od wszelkich reform politycznych i społecznych, gdyby w mej głowie mogła kiedykolwiek powstać myśl aby je zaprowadzić u nas."

Daremnie starałem się przedstawić mu, że prawo i reformy mają swoją dobrą stronę, że jeźli brak ich ułatwiał absolutne wykonywanie władzy monarszej, istnienie prawa zabezpieczało wolność osobistą obywateli i godność ludzką — na wszelkie dowodzenia moje odpowiadał uśmiechem politowania.

Wtem weszły damy którym basza raczył zezwolić zwiedzić swój harem; przyjęto je tam z wielką uprzejmością, połączoną z dziecinną ciekawością. W licznym haremie baszy, znajdowały się dwie tylko kobiety ładne i młode; jedna szczególniej miała rysy regularne i delikatne, znamionujące wyższe pochodzenie. Przybrane były w złotem haftowane szaty i mnóstwo naszyjników z pereł i drogich kamieni. Wysokie stanowisko tych odalisek, nie dozwala im niczem się zajmować; zdawało się że je bawiły je bardzo spostrzeżenia i pytania przybyłych dam, które musiały z niemi siedzieć po turecku, co prawda na wcale wygodnie urządzonych dywanach. Powiadały bez ceremonii, że toalety pań europejskich wydają im się bardzo śmieszne, nieładne i niewygodne.

Życie większej części kobiet krajowych, szczególniej wyższego stanu, upływa w ścianach domu lub pałacu, który zamieszkują. *Patio* jest dla nich dziedzińcem więzienia, ale więzienie to ożywiają tryskające fontanny, jasne promienie słońca i widok pięknego błękitnego nieba, oprawnego w białą marmurową ramę.

Damy częstowano w haremie herbatą i łakociami; nam kazał je basza podać w sali. Mniemana herbata był to jakiś dekokt z rumianku i maku — cóż było robić, przez grzeczność musieliśmy pić i chwalić, że jest doskonała. Nareszcie pożegnaliśmy uprzejmego baszę; on nie wstał na pożegnanie, ale kładąc znów rękę na sercu, życzył nam wszelkich pomyślności, polecając Ałłahowi i jego Prorokowi.

Ten sam adiutant nas odprowadził i nie raczył się obrazić, gdy przy rozstaniu wsunąłem mu w rękę dwa piastry — datki takie są tu uważane za dobrze zrozumianą grzeczność.

Tak wielu ex-dostojników, którzy w ciągu urzędowania wielkie porobili majątki, jak i znaczna liczba zbogaconych krajowców, przenoszą się na mieszkanie do Tangeru, zapewniającego większe rękojmie bezpieczeństwa, niż którekolwiek inne z miast podległych berłu groźnego Mulej-Hassana. Starają się wszelkiemi sposobami pozyskać obce poddaństwo, lub nawet poświęcając część majątku, układają się z cudzoziemcami i za umówioną opłatą, przepisują majątki swoje na ich imię. Tym sposobem mogą żyć dość spokojnie w Tangerze, gdzie sama obecność ministrów rezydentów europejskich, chroni ich od obdarcia przez niesumienną administracyą.

Był to dzień szabasu; spotykaliśmy bardzo wiele żydówek przybranych w jaskrawe stroje, rażącą stanowiące sprzeczność z szatami kobiet arabskich jednostajnej barwy i kroju. Uśpione ich spojrzenia ożywiając się rzucają świetlane odbłyski. Tłomacz nasz ofiarował się nastręczyć nam sposobność bliższego poznania tej części ludności krajowej, wyjednaniem zaproszenia na ślub pewnej zamożnej Izraelitki. Nie omieszkaliśmy korzystać z tej sposobności.

Dość wesołe we dnie uliczki tego starego miasta, z zapadnięciem wieczora zamieniają się w ciemne i ponure labirynta. Nigdzie choćby najmniejszej lampki. Przy migającem świetle latarni w jakąśmy się zaopatrzyli, wszystkie te ciemne tajemnicze pomieszkania zdają się stanowić część jakiejś na wpół zrujnowanej, bez ładu zbudowanej nekropolii. Czyż rzeczywiście w grobowcach tych mieszkają istoty żyjące, mogące wyjść z nich i udać się na jakąś zabawę?... Ach! jakżeto byliśmy daleko od naszej monotonnej Europy!

Nareszcie po długiem chodzeniu to w prawo to w lewo, osuwając się nieustannie po ruchomych kamieniach i kupach najprzeróżniejszych śmieci, doszliśmy do domu z którego przedzierały się smugi światła, przez małe otwory, zastępujące okna. Za otworzeniem drzwi znaleźliśmy się w licznem i strojnem zebraniu.

Mężczyzni stali pod portykami dziedzińca (patio) na środku którego znajdowała się orkiestra złożona z licznych instrumentów, z których wiele zupełnie były mi nieznane. Przeważały kastaniety, tamburina i mandoliny, tworząc mniej więcej harmonijne dźwięki, a wielkie bębny, w które bili murzyni, dziką muzyce tej nadawały cechę. Krzykliwi śpiewacy krajowi, śpiewali od czasu do czasu okolicznościowe piosenki.

Kobiety rzędem na ławkach siedziały w salonie. Młoda oblubienica siedziała w samym środku, otoczona kwiatami; więcej zwracała uwagę pięknością rysów i delikatną cerą, niż bogactwem i czysto wschodnim układem stroju. Podczas tej ceremonii, niewolno mężczyznom zbliżać się do niej ani przemawiać. Zebranie takie powtarza się przez ośm dni z kolei, z jednaką uroczystością i jednakiemi zabawami, ślub następuje dopiero po ich upływie. Mówiono mi, że odbywa się nadzwyczaj świetnie i okazale z takiem bogactwem i przepychem klejnotów i strojów, że wydatki na te obchody małżeńskie, przewyższają nieraz posag.

Zwrócono naszą uwagę na ważną bardzo w pośród gości osobistość, to jest Hach Addeselama, szeryfa z Guazanu, najwyższego w tem państwie zwierzchnika islamu. Cieszy on się tak wielkiem poważaniem, iż może bezpiecznie zwiedzać wszystkie prowincye marokańskie, nawet tak niebezpieczne okolice Riefu, zamieszkałe przez śmiałą i zuchwałą ludność, zawsze gotową do buntu, gdzie sam nawet sułtan nie śmiałby zapuszczać się bez licznej eskorty. Hach Addesalam ma dostojną ale i wyniosłą postawę, spojrzenie ukośne; pochodzi z rasy maurytańskiej z której rekrutują się dostojnicy kościoła, jako też kadowie, paszowie i t. p. Przybył na weselne gody w towarzystwie najpierwszej swojej żony, Angielki, prostej panny służącej, przybyłej do Tangeru z jakąś rodziną amerykańską. Niebawem zakochała się w szeryfie a świątobliwy dostojnik raczył odpłacić się wzajemnością. Próbowano wybić jej z głowy to dziwaczne uczucie, wyjawiając, że dwie pierwsze żony szyryfa zniknęły jakoś w podobny sposób jak żony Sinobrodego, a pozostałe podrzędne trzydzieści dwie, uchodziły za bardzo nieszczęśliwe — daremnie. Nadto przekładano jej, że dzieci jej będą musiały być wychowane w religii muzułmańskiej — ale i to nie zachwiało jej postanowienia.

Odpowiadała iż szeryf przymiotami swemi przewyższał najlepszych chrześcian, a już sam tytuł „jaśnie oświeconej" wynagrodzi jej wszelkie możliwe niedogodności. Pozostała niby chrześcianką — co naraża ją na nieustanne przykrości. Wszechwładny szeryf nie traci nadziei, że zdoła ją nawrócić — lecz czy znudzony zostawi jej czas na to?

Tanger nie przypomina niczem dawnej wielkości Maurów, potomkowie rodzin pochodzących z Grenady i Andaluzyi, nie zachowali przymiotów odznaczających ich przodków. Niektórzy z Maurów, którzy zwiedzili Europę, nie zaprzeczają, że

chrystyanizm przyczynił się wszechwładnie do tej cywilizacyi, którą podziwiają, ale tylko z największą trudnością przyjmują. „Jeźli, mówią, islamizm nie ustrzegł nas od upadku, nie możemy zapomnieć, że wpływem swoim przyczynił się znacznie do wielkiej i wspaniałej przeszłości naszej, której tak świetne ślady przechowały się w Hiszpanii. Wy niekiedy z żalem wspominacie przeszłość — my czynimy to samo, tylko nie z tak wielką goryczą jak wy, bo lepiej umiemy poddawać się wyrokom Ałłaha. Za każdem nieszczęściem, za każdą niesprawiedliwością losu, powtarzamy z poddaniem: *Tak było zapisane.*"

(*D. c. n.*)

POGADANKA.

Wśród świątecznego gwaru, pozwolimy sobie cofnąć się do wydarzeń przedświątecznych, choć także świątecznych, acz w innem znaczeniu.

Warszawa, skora do uniesień, składała hołdy młodej czeskiej śpiewaczce pannie Irmie Reichównie, która na swój benefis zaśpiewała „Halkę"... po polsku. Sypały się kwiaty, składano wieńce, a pomiędzy temi wieniec srebrny, nawet miasta z po za miedzy pośpieszyły z hołdem śląc telegramy, których naliczyliśmy sporo.

Zapyta każdy, kto jest ta panna Reichówna, czy znana w świecie szerokim śpiewaczka, czy zasłużona na tem polu, czy olśniewająca istotnie znakomitością pod tym względem? Na żadne z tych pytań nie możemy odpowiedzieć: tak. Artystka to młoda, bo liczy zaledwie lat dziewiętnaście, więc do zasług nie miała czasu, talent ma wielki, lecz my sami mamy swoich więcej i większych Więc za cóż tak wielkie, tak niezwykłe hołdy?

Bezwątpienia nie dla samej je składają artystki.

Gdyby śpiewaczka tej miary co panna Reichówna przybyła do Warszawy przed kilku laty, pewnoby prócz zwykłych oklasków nic innego nie zdobyła. Możeby nawet nie poskąpiono uwag i krytyki. Dziś zupełnie dzieje się inaczej. A przyczyna, zasługa—leży w ważnej bardzo rzeczy. Nieinaczej. Lat temu jeszcze niewiele, o sympatyi naszej dla Czechów i odwrotnie, nie mówił nikt; dziś wyszukujemy skwapliwie sposobności do okazania całego zapasu braterskiego uczucia dla pobratymczego narodu. Istnieje zgoda pomiędzy bratnimi szczepami, które los łączył niejednokrotnie. Los też je dzielił. Na zgodę czekaliśmy długo i Bogu dziękujemy, żeśmy się jej doczekali.

Lecz we wszystkiem zachowajmy miarę.

Niech nam nikt nie bierze za złe, że w imię bezstronności musimy położyć nacisk na to, iż myśmy skorsi do objawów tej serdeczności braterskiej, czy to w słowach, czy nawet w czynach. Nad Wełtawą nas lubią, lecz może spokojniej, może się tam tak nie gorączkują...

Pozwolimy sobie zacytować przykład.

Kiedy w Pradze zgorzał narodowy teatr, pospieszyliśmy ze składkami, dość nawet znacznemi. Dziękowano nam głośno i myśmy się cieszyli z dobrego uczynku. Ciche tylko głosy odzywały się, iż u nas nie ma grosza do zbytku, że potrzeb własnych niemało, a naród, który może budować teatr za miliony, da sobie radę. Głosy te same przypominały, że kiedy nasi bliźsi marli z głodu po strasznej powodzi nad brzegami Wisły, nad Wełtawą nie znaleźliśmy współczucia — Czesi literalnie ani grosza nie dali dla zagrożonych głodem powiślan...

Lecz głosy to były ciche, nie słyszano ich. W poczciwości i szlachetnych porywach nie powodowaliśmy się nigdy rachubą...

Daj Boże, by z tego posiewu bratniej zgody jak najlepsze było ziarno, by Czesi zagrzani naszym przykładem, również goręci byli w słowach i czynach...

Wracając do czeskiej primadonny, notujemy, iż wzięła udział w bazarze na dobroczynność, a że się ogólną cieszy sympatyą, nie dziw, że dla biednych niemało przybyło grosza.

Wogóle bazar dość był ożywiony. W ciągu trzech dni zwiedziło go około 5,000 osób, a czysty zysk, przeznaczony na cele dobroczynne wynosi półtora tysiąca rubli. Sama ta kwota niewielka, lecz ziarnko do ziarnka, uzbiera się miarka. Nie możemy bynajmniej narzekać na ospałość w tym względzie. Pamiętają u nas o biednych i gdzie można gromadzą się mniejsze lub większe kwoty dla nich. Nie możemy tu przemilczyć o Teatrzyku Dobroczynności, który w tym względzie wielką oddaje usługę, a większą jeszcze oddać mógłby przy gorliwszem poparciu ze strony publiczności. Teatr łączy tu piękne, przyjemne z pożytecznem. Pod kierownictwem energicznego, a bardzo uzdolnionego literata p. M. Gawalewicza, rozwija się pod względem artystycznym nader pomyślnie.

Amatorzy grają coraz to lepiej, a nie zapomnijmy, że na tejto właśnie scenie debiutowało kilka późniejszych artystek i artystów, którémi się obecnie cieszą teatra nasze stałe. W obec takich warunków i celów, należy bardzo Teatrzyk Dobroczynności popierać.

Możeby kto powiedział, iż prostszą jest dobroczynność bez zabawy — lecz to już tak droga utarta. Nie jeden daje chętnie dla biednych, byle i sam mógł się zabawić. Tym razem musimy przyjąć dewizę: Cel uświęca środki.

Ta sama historya powtarza się przy zbieraniu funduszów na pomnik Mickiewicza. Składki trochę ustały, więc z okazyi nadchodzącego karnawału podniesiono myśl o tak zwanych *perkalikowych balach.*

Zamiast kosztownych strojów, mają panny używać sukienek perkalikowych, a co się przez to oszczędzi, niech idzie na rzecz funduszu pomnikowego. Sposobu tego użyto już w roku ubiegłym, nie wątpimy, że i tego roku tą drogą coś do pomnożenia funduszu przybędzie.

Pisząc te słowa mamy na myśli nie tylko Warszawę, lecz i prowincyą, ktora stolicy nie powinna się dać wyprzedzić. Jeśli gdzie to tam najłatwiej urządzać bale *perkalikowe.* Niechże Czytelniczki nasze postarają się byśmy się na ich ofiarności nie zawiedli.

Mówiliśmy o artystach i scenie, jeszcze więc do niej na chwilę powrócimy. Dramat nasz i tragedya poniosą dotkliwą stratę przez usunięcie się panny Derynżanki. Wiadomo, że jest to dziś u nas najlepsza dramatyczna artystka, znana na wszystkich polskich scenach. W roku ubiegłym zbierała oklaski i hołdy w Pradze Czeskiej, u nas cieszy się niemi ciągle a jednak usuwa się ze sceny i wychodzi zamąż.

Istotnie trudny tu wybór między sztuką a życiem rodzinnem, a pogodzenie obojga jeszcze trudniejsze. Sztuka wymaga pewnego poświęcenia celibatu, jak powiedział Słowacki. Lecz znowu życie rodzinne tak świętem jest, tak ważnem, bo najważniejszą stanowi podstawę życia społecznego, że trudno nam na nie narzekać, choć pociąga za sobą stratę dla sztuki.

Gorzej, kiedy się porzuca w imię sztuki kraj rodzinny. Zrobiła tak Modrzejewska. Prawda, że sława jej za granicą i za morzem i na kraj nasz spływa, lecz scena warszawska pozbawiona jest pierwszorzędnej artystki, co wielce się przyczyniło do jej niefortunnych nieraz losów. Jako wzór tu postawić należy Żółkowskiego, który całe życie poświęcił rodzinnej tylko scenie.

Piszemy te słowa i powtarzamy je dlatego, że grozi nam nowa strata. Tym razem idzie o M. Andriollego, najlepszego i najczynniejszego polskiego illustratora. Dzieł jego nie naliczyłby a były one główną podstawą wszystkich polskich wydawnictw illustrowanych. Pracy miał Andriolli w bród, a na brak uznania chyba nie mógł się użalać. Dlaczegoż ma dzisiaj opuszczać kraj i to na czas dłuższy? Dla sławy wśród obcych bo mu swojska nie wystarcza...

Może się mylimy, może Andriolli kraju nie opuści dla pięknej Francyi, gdzie ma illustrować dzieła Wiktora Hugo. Ponieważ klamka jeszcze nie zapadła obowiązkiem naszym jest nakłaniać znakomitego artystę by się zdecydował wyrzec się sławy zagranicznej dla uznania, czci i miłości u swoich.

Sztukę u nas pielęgnują gorliwie, dokładają wszelkich starań, ażeby z jednej strony dopomódz rozwijać się prawdziwym talentom, z drugiej zaś gromadzą o ile możności dzieła naszych artystów z kraju, aby się nie rozpraszały po świecie. Najnowszym dowodem tego są zabiegi koła literacko-artystycznego w Krakowie około zebrania funduszów na zakupienie znakomitej rzeźby Welońskiego *Gladyator.* Jestto jedno z najlepszych dzieł nowoczesnej rzeźby, uznane za takie za granicą i w kraju. Artysta oddaje się studyom w boskiej Italii, gdzie jest istny skarbiec arcydzieł. *Gladyator* jest owocem tych studyów, a godzien stanąć pomiędzy swemi pierwowzorami.

Jesteśmy przekonani, że fundusze na zakupno *Gladyatora* się zbiorą, tym bardziej, że przeznaczony jest dla narodowego muzeum sztuki w Krakowie. Wobec takiego celu nie powinien nikt poskąpić grosza.

Otóż i koniec *Pogadanki,* ostatniej w tym roku.

Znękany trzystosześćdziesięciopięcio - dniowem życiem, pełnem wydarzeń mniej lub więcej ważnych, ustępuje rok stary przed nowym. Rachunku złego i dobrego nie robimy, poprzestając na życzeniu: oby rok nowy z każdym dniem więcej dobrego nam przynosił...

I znów z życzeniem stajemy przed Czytelniczkami, z życzeniem wytrwałości a *prawda* a *praca* niech będzie hasłem naszem.

Es. Zet.

W imienniku młodej panienki.

Jak kwiat wychuchany, w cieplarni chowany,
Woń cudną rozsiewa dokoła,
Tak i ty Marynko, milutka dziewczynko,
Kwitniesz nam swobodna, wesoła.

Wszyscy cię kochają i mile witają,
Boś dobra i świeża jak róża,
Młodości twej wiosna, tak świeci radosna,
Nieznane ci wichry ni burza.

Twych rannych dni karta, niczem niezatarta,
Jak lilii kwiat czysty i świeży,
Śpi jeszcze serduszko, choć szepcze coś w uszko,
Ah! rychło, zbyt rychło uderzy!

Nie pragnij tej chwili, bo nigdy ci milej
Na całym nie będzie już świecie,
Jak w cichem tem gronie, na matki twej łonie,
Gdy tulisz się do niej, jak dziecię.

Ah! matki pieszczoty, to niebios dar złoty,
To życia cudowne ogniwo,
Nie rwij się do świata, zbyt rączo mkną lata,
Bądź zawsze jak teraz szczęśliwą.

Bogumiła.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Piszą z Rzymu do „Gazety Warszawskiej. Dnia 29 z. m. król włoski, chcąc dać Kraszewskiemu dowód swej przyjaźni i uwielbienia oraz szczery dowód współczucia, nadał *motu proprio* wielkiemu pisarzowi, który naród nasz najlepiej przedstawia i uosabia, godność wielkiego oficera królewskiego orderu i rycerskiego zakonu ŚŚ. Maurycego i Łazarza, którego sam jest wielkim mistrzem. Już podczas jubileuszu swego, otrzymał Kraszewski wielkie oficerstwo orderu Korony Włoskiej czyli Żelaznej — ale stopień ten wyższym jest w orderze ŚŚ. Maurycego i Łazarza Ciężko chory w Dreźnie, Kraszewski nie wiedział nic o niespodziance jaka miała go spotkać z inicyatywy króla Humberta. P. Correnti, wielki kanclerz orderów państwa, przesłał mu d. 29 z. m. w imieniu króla nietylko dyplom ale i oznaki orderu, które z wyjątkowych tylko razach monarcha udziela. Insignia te składają się ze złotego, biało emaliowanego krzyża na zielonej wstążce i z wielkiej takiejże gwiazdy, którą się nosi na piersiach. Żałuję bardzo że nie mogę podać listu własnoręcznego kanclerza, bo doniosłość jego niezwykła niemałe wywołałaby wrażenie. Przekonany jestem że wszystkim wam miłym będzie już sam zaszczyt uczyniony szanownemu jubilatowi. Dowodzi on że szlachetny i światły monarcha włoski, pilnie się zajmuje rozwojem piśmiennictwa nietylko we własnym kraju i że prace Kraszewskiego nie są mu obce. To tak pełne delikatności i serdeczności odznaczenie naszego pisarza, sympatycznem zapewnie odbije się echem o najdalsze ziemi naszej krańce, maluje ono także dobrze niewysłowioną zacność charakteru króla Humberta szczególne mającego upodobanie w sprawianiu przyjemności osobom posiadającym jego szacunek, a nadewszystko ludziom zajmującym wyższe stanowisko w umysłowym świecie. Jeżli prawda co mówią iż tyle znająca języków piękna królowa Małgorzata, umie także i po polsku i czytuje Kraszewskiego w oryginale, to może jej także kobiecą delikatność należałoby upatrywać w niespodziance sprawionej ulubionemu naszemu pisarzowi.

*** Jakiś wieśniak z pod Lwowa, złożył „Macierzy” rękopism zadziwiająco dobrze napisanej rozprawy o rzeczach wiejskich; rękopism został przyjęty i w całości wydrukowany zostanie.

*** Znany z wybornych przekładów poetów polskich na język niemiecki, Henryk Nitschman, w ostatniem swem dziele „Historya literatury polskiej” osobny rozdział poświęcił opisaniu cnót i przymiotów niewiast polskich. Wymieniwszy znakomite kobiety nasze od najdawniejszych do naszych czasów, zastanawia się nad systemem ich wychowania w Polsce.

„Od najdawniejszych czasów starano się w Polsce w ten sposób wychowywać kobiety, aby umiały w przyszłości odpowiedzieć swojemu stanowisku i godności pani domu. Uczono je modlić się i pracować, zajęć domowych i gospodarskich, a wszystko to chroniło Polki od przesadnej egzaltacyi i rozmarzenia. Co prawda, w dawniejszych czasach, Polki nie troszczyły się zbytecznie o nabycie nauk, nie odznaczały się salonowością, ale zato wzorowo zarządzały domem a często nawet i męzkiem gospodarstwem. Pobożność ich była szczerą i dlatego stawała się źródłem ich pokory, uległości i pracowitości...”

Dalej znów mówi: „Ujmujące, pracowite, porządne, Polki cnoty te wpajały w mężów i w synów. Matka – Polka jak dawniej tak i dotąd kocha syna nieograniczoną miłością, szczęśliwa odkrywając w nim szlachetne przymioty. Dla męża i ojca swych dzieci bywa Polka surowym sędzią, gromi go surowo jeżli poniżających dopuszcza się czynów — lecz zato popiera go usilnie ilekroć chodzi o cel wielki i szlachetny, i jest nieodstępną i wierną towarzyszką jego w szczęściu czy w niedoli. Polak umie cenić cnoty swej żony, jednak nie bije przed niemi czołem, uważając za rzecz zwykłą i niezbędną... Dawne Polki nie dlatego nie oddawały się naukom lub literaturze że nie były wyższemi obdarzone zdolnościami, ale iż wzbraniano im tego w przekonaniu, że praca naukowa lub literacka przeszkadza i odstręcza kobietę od zajęć domowych i gospodarskich.”

Wymieniwszy znakomite Polki dawnych czasów, pisze obszernie dość o Drużbackiej i przytacza ustępy i parę całkowitych jej poezyi w prześlicznym przekładzie. W końcu rozdziału wspomina Nitschman o przedsięwziętych w ostatnich czasach usiłowaniach w celu emancypacyi kobiet, wymieniając nazwiska autorek których pisma uwidoczniają tę dążność. Gdyby najlepszy Polak pisał o rodaczkach swoich, nie mógłby większych oddać im pochwał, wyrażąc się z większą -cześcią i współczuciem jak Nitschman w swej „Historyi literatury polskiej”, przedstawiając je jako uosobioną doskonałość — to też kobiety polskie winny mu wdzięczność za tak pochlebny sąd o nich a wszyscy Polacy za szczere współczucie jakiem tchnie dla nas całe dzieło jego, jakoteż za mistrzowskie przekłady poetów naszych na język niemiecki.

*** Stajnie hrabiego K. P. w Paryżu żywo zajmują niektóre dzienniki francuzkie, które porównywają je do najwspanialszych tegoczesnych pałaców. Oto co w tym przedmiocie piszą do „Kłosów.”

„Nie możemy szczycić się bohaterskiemi czynami potomków hetmańskich, niechajże nam przykrość tę osłodzi sława pańskich stajni i koni. Otóż stajnie hr. P. pobudowane są na 16 koni, z których dziesięć zajmuje osobne apartamenta. Wzniesione w stylu Ludwika XIV i przypominają pałac paziów w Wersalu. Po za końmi, poumieszczano w ścianach wazony z różowego marmuru, a z nich bije fontanny. Kiedy konie nie piją służba ma rozkaz wazony te zapełniać kwiatami. Żłoby wyrobione z czarnego drzewa, suto przyozdobione są herbami pana hrabiego. Nad każdym koniem wyryte jest na miedzianej tabliczce jego nazwisko, genealogia i dzień urodzenia. Ściany pokryte są marmurem. Domowa toaleta koni składa się z jedwabnych uździenic, koloru niebieskiego i żółtego. Przy stajni urządzona jest sala do mycia, a w niej wanny parowe, zimne, zapatrzone we wszystko co obejmują wszelkie systemata hydroterapii. Słowem całe umontowanie tej stajni dosięga do zenitu przepychu i zbytku.... Oj! panie hrabio, masz wspaniałe stajnie, ale widocznie nie masz serca ani sumienia, kiedy możesz w podobny sposób ośmieszać nas wśród obcych. Kraj nasz za biedny na takie szaleństwa, ileż to szkół założyć, ile dobrego zdziałaćby można w kraju za zmarnowane na ten wybryk pieniądze!

*** Donoszą z Ufy iż ziemstwo powiatowe na ostatniem zebraniu swojem, wysłuchawszy sprawozdania komisyi rewidującej szkoły ludowe, postanowiło wyasygnować jak dotąd 15,000 rs. na ich utrzymanie, z tą jednak różnicą, że zamiast 30 szkół istniejących obecnie, a zdaniem komisyi funkcyonujących całkiem niezadawalniająco, ziemstwo udzieli 250 rs. zapomogi każdej szkole do której przynajmniej 15 uczniów uczęszczać będzie. Nadto zakładanie szkół ludowych nadzwyczaj zostanie ułatwione, dość bowiem będzie aby ojcowie 15-ga dzieci zawiadomili ziemstwo o chęci posiadania szkoły. Czemuż to nie u nas!

*** Depesze zaatlantyckie donoszą o śmierci znakomitego uczonego amerykańskiego, Henryka Draper’a. On pierwszy zdołał zdjąć odbicia fotograficzne z rozmaitych ciał niebieskich, co uczyniło go głośnym w całym naukowym świecie. Jego fotografia księżyca o 50 calowej średnicy, wielkie w swoim czasie budziła zajęcie. W r. 1874, Draper był naczelnikiem oddziału fotograficznego wyprawy naukowej, wysłanej przez kongres Stanów Zjednoczonych dla obserwowania przejścia Wenus przez tarczę słoneczną. W ostatnich dziesięciu latach, znakomity uczony oddawał się wyłącznie badaniom astronomicznym i połączoną z niemi „fotografią nieba” a jego obserwatoryum w Hattings należało do najlepszych tego rodzaju zakładów. Z rozpraw fachowych Draper’a, największy pozyskała rozgłos praca „O odkryciu tlenu na słońcu” i „O nowej teoryi systemu słonecznego.” Draper liczył zaledwie lat 45.

*** Jak wiadomo, w Ameryce wolno wierzyć w co i jak kto chce, tylko niewolno pod żadnym warunkiem być bezwyznaniowcem — to też korzystając z tej dowolności religijnej, wytworzyła się tam niezliczona ilość najrozmaitszych sekt, a między innemi nowopowstała sekta „Adwentystów”, zapowiadających (wbrew Pismu św.) ogólny potop przy końcu b. r. Wskutek tego naczelnik sekty założył Towarzystwo Akcyjne dla wybudowania olbrzymiej arki. — Podług ogłoszonego programu

tego oryginalnego towarzystwa, akcya na 20 dolar. daje prawo do miejsca w 2-ej klasie arki, a na 50 w klasie 1-ej. Każdy z podróżników może zabrać z sobą jakiekolwiek zwierzę, za opłatą według ustanowionej taryfy. Pomysł prawdziwie amerykański.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubrania spacerowe.

Suknia z odmiennym stanikiem. Spódnica plisowana zakończona trzema falbankami i tunika suto podpinana jest z ciemno-zielonego kaszmiru a stanik bawetowy z takiegoż pluszu. Tunika z przodu tworzy paniers, z boków bardzo suto udrapowane, z tyłu dopełniona jest prostym brytem, w górze wysoko odstającym w dolnej połowie luźno spuszczonym. Kapelusz tego co suknia koloru, zdobny wstążką i piórami.

Ubranie z długim paletotem. Do sukni kaszmirowej włożony bardzo długi paletot, z grubego materyału sicilienne, szeroko obłożony futrem, którego boki ścięte w skośny ząb u dołu, spuszczone są na wierzch, na oddzielne dodane części. Do przybrania służy gruba pasmanterya.—Kapotka aksamitna.

Ubranie z krótkim paletocikiem. Spódnica aksamitna przysłonięta jest tuniką z materyału wełnianego w kratę przerabianą nitką kolorową; boki tuniki złączone są zapięciem z wielkich szmuklerskich haftek. Krótki paletocik z takiego jak suknia aksamitu obłożony futrem i naszyty piękną pasmanteryą. Kapelusz filcowy z piórem i kokardą z długiemi końcami.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Łuk...... w Mańkowie. Dodatek żądany posłano. Co do adresu zakładu nauczycielek prywatnych, nie wiemy którego to dotyczy. Jeżeli idzie o Bióro p. Heleny Dąbrowskiej to go często powtarzamy tak w „Tygodniku Mód" jak w „Przyjacielu Dzieci". Jest nim Krakowskie Przedmieście N. 43.

Pa. J. D. w Kaliszu. Wierszyki dawniejsze w treści były nie smutne tylko ponure a to stanowi wielką różnicę. Smutek szczery prostem wymówiony słowem, ujmuje i współczucie obudza, ponurość zakrawa na tragiczność a ta łatwo wpada w przesadę i nienaturalność. Przysłane krakowiaczki rzeczywiście są wesołe i bardzo zgrabnie ułożone, ale czyż takie drobiazgi godne druku? Prosimy o coś odpowiedniejszego, coby godne było talentu Autorki i kolumn „Tygodnika", a na co, mamy nadzieję, że długo czekać nie będziemy.

Pani E. K. w Kiszeniewie Odpowiedź na list z odpowiednim objaśnieniem, już trzy tygodnie temu przesłano do Kiszeniewa poste restante.

Od p. E. L. odebrano dla biednych na Święta rs. 1.

NOWE WYDAWNICTWA.

Wyszła z druku książka pod tytułem *Badania porównawcze w dziedzinie języka*, przez L. Szczerbowicza-Wieczora, do nabycia w Warszawie w księgarniach Gebethnera i Wolffa i Maurycego Orgelbranda, w Płocku u autora. Cena z przesyłką rs. 1 kop. 50.

Elementarz Kazimierza Prومyka na którym nauczysz się czytać w pięciu lub ośmiu tygodniach, wyszedł z druku w ośmnastem wydaniu, co jak u nas pierwszy raz zapewne ma miejsce. Tym sposobem rozeszło się go już 145,000 egzemplarzy. Jakże to wielce pocieszające!

Zawiadomienia.

ZAKŁAD

NAUKOWO-RĘKODZIELNICZY

pod kierownictwem

NATALII SMÓLSKIEJ,

przy ulicy S-to Krzyzkiej Nr. 19.

Przyjmuje uczenice na naukę pojedyńczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15 odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specyalności należących dla tych osób, które z nauki swej zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

Dla Modystek wykładane będą: krój sukien krój bielizny, stroje, szycie w ręku i na maszynie i część towaroznawstwa zastosowanego do tego zawodu.

Dla gospodyń wiejskich: Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo, wiadomość o drobiu i pszczołach.

Dla poświęcających się kupiectwu: Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne i nadto praktyka w sklepie Spółki tak co do kupna i sprzedaży, jak i prowadzenia rachunków.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto Panie z prowincyi, dla dogodności, na naukę bądź pojedyńczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do Natalii Smólskiej i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, a o terminie rozpoczęcia wcześnie zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy na żądanie w wynajęciu dla uczenic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonemi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżej wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

CZAS TRWANIA I SPOSÓB OPŁATY SĄ NASTĘPUJĄCE:

Nauka fachowa w grupach opłata kwartalna po rs. 45 z góry.

Modniarstwo: krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w ręku, stroje i część towaroznawstwa kwartałów 2 (miesięcy 6).

Gospodarstwo wiejskie: Ekonomia domowa, rahunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należącego — kwartałów 3 (miesięcy 9).

Kupiectwo: Buchalterya i korespondencya handlowa, Towaroznawstwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesięcy 6), a nadto praktyka przy sklepie za opłatą rs. 5 miesięcznie, czas krótszy lub dłuższy stosownie do woli uczenicy.

Lekcye odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

Nauka pojedyńczych przedmiotów opłata miesięczna rs. 5 z góry.

Krój sukien	miesięcy	3
„ bielizny	„	2
Stroje	„	3
Rękawicznictwo	„	6
Introligatorstwo	„	6
Buchalterya	„	6
Kwiaty sztuczne	„	6
Drzeworytnictwo	„	12
Zegarmistrzowstwo	„	12
Heliominiatury	„	2
Retuszerya	„	6
Koszykarstwo	„	6
Rysunki zastosowane		
Ekonomia domowa	„	3
Koronkarstwo	„	3
do rzemiosł	„	6
Jedwabnictwo	„	6

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie
Przygotowanie do Korespondencyi „ 4 „

Lekcye co drugi dzień po dwie godziny.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu, uczenice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

Dla młodzieży

KRÓLOWIE POLSCY,

43 wizerunki litografowane podług rysuuku Tytusa Maleszewskiego, z krótkim tekstem historycznym w ozdobnej oprawie. Prenumeratorowie Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci za nadesłaniem do Redakcyi rs. 2 kop. 50 będą mieli nadesłany cały ten poczet, pocztą franco.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, rycina kolorowa, oraz dla prenumeratorów na pocztę Prospekt „Kłosów".

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 15 Декабря 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 52, r. 1882.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dokończenie.)

W oczach jej się zaćmiło; uchwyciła się balustrady aby nie upaść... Trwało to jednak chwilkę tylko— siłą woli zapanowała nad sobą i rozgorączkowana znów zaczęła się wpatrywać, podniecana palącą ciekawością.

Przeciwnicy stanęli na wyznaczonych miejscach. Moulinet zaczął wołać błagalnym głosem:

— Panowie!... panowie!... miejcież litość... zaklinam was!...

La Brède ujął go za rękę i odciągnął na stronę, wypominając surowo. Oktawiusz podał Filipowi pistolet i odsunął się prędko.

La Brède zapytał pewnym głosem:

— Czy jesteście panowie gotowi?

Książę i Filip odpowiedzieli jednocześnie. Tak.

Wtedy La Brède zaczął rachować powoli:

Raz... dwa... trzy... strzelać!

Klara widziała wyraźnie oba groźnie się pochylające pistolety — w tej stanowczej chwili obłęd ją ogarnął. Nieprzepartym ruchem rzuciła się naprzód, krzyknęła, jednym gwałtownym skokiem przeleciała schody, i wystawiając się na cios wymierzony przeciw Filipowi, zatkała ręką lufę pistoletu wymierzonego przeciw niemu.

Rozległ się huk wystrzału.

Śmiertelna bladość pokryła twarz Klary; z jakiemś niepojętem, jakby radośnem uniesieniem potrząsła parę razy zranioną i zakrwawioną ręką, i krew z niej płynąca obryzgała twarz księcia. Pierś Klary ciężkiem podniosła się westchnieniem; padła zemdlona.

Wszyscy krzyknęli przerażeni.

Uczuwszy na twarzy ciepły deszcz krwi, książę wzdrygnął się i odskoczył; Filip pobiegł do Klary i ująwszy jak dziecko zaniósł do powozu oczekującego w pobliżu.

Klara miała zamknięte oczy; Filip z pomocą doktora wsadził ją do powozu i oczekiwał jego wyroku z niewysłowioną trwogą. Z ubóstwieniem prawie ucałował rękę co cierpiała tak dla niego.

Doktór przerażony niezwykłym wypadkiem, nadzwyczaj zręcznie opatrzył i obandażował zranioną rękę; nareszcie odetchnął spokojniej, mowiąc:

— Dzięki niebu kość nienaruszona!... ręka jest w lepszym stanie niż można było się spodziewać... Wprawdzie ręka pozostanie zeszpeconą... ale pani Derblay zaradzi temu nie zdejmując rękawiczki.

I roześmiał się odzyskując zimną krew operatora, a następnie ułożył poduszki powozu aby pacyentka siedziała wygodniej.

Filip żywo zaniepokojony nie spuszczał oczu z Klary... przerażało go niewymownie tak długie jej zemdlenie. Głos barona przypomniał mu położenie; zbliżał się do niego w towarzystwie zmięszanego bardzo pana La Brède.

— Książę de Bligny polecił mi, rzekł do Filipa, abym panu wyraził najgłębsze jego współczucie z powodu nieszczęścia którego mimowolnie stał się przyczyną. Ubolewa niewymownie nad wypadkiem jaki dotknął panią Derblay, co wpłynęło bardzo silnie na zmianę jego usposobienia. Książę uznał że obecnie niepodobna jest wznawiać przerwany pojedynek... Tak odwaga mego przyjaciela jak i odwaga pana znane są i nikt o nich nie powątpiewa... Wszyscy tu jesteśmy ludźmi uczciwymi... zobowiązujemy się słowem honoru całe to zajście zatrzymać w tajemnicy.

Filip zwrócił głowę w stronę gdzie stał książę de Bligny; siny i drżący, wsparty o barierę machinalnie chustką twarz ocierał. Za każdym razem wstrząsł się gwałtownie, gdy odejmując chusteczkę batystową, widział na niej plamy krwi.

Dręczyła go niewymownie myśl iż kula jego mogła była śmiertelnym ciosem ugodzić w pierś Klary, roztrzaskać jej głowę lub przeszyć serce. W tej chwili, po raz pierwszy w życiu, sam siebie bardzo surowo osądził, i postanowił sobie stanowczo raz na zawsze usunąć się z drogi tej która z jego przyczyny przecierpiała tak wiele.

La Brède mówił coś jeszcze do Filipa z niezwykłem u niego wzruszeniem. Filip słyszał jak przez sen słowa jego w których wyrażał mu własne uczucia i żal z powodu smutnego tego zajścia. Pozwolił mu ująć swą rękę i silnie ją uścisnąć. Nareszcie zobaczywszy że książę oddalił się pociągnięty przez Moulinet'a, wepchnął doktora do powozu, sam wskoczył na kozioł i chwytając lejce prędko odjechał do domu.

Jak dawniej podczas długiej choroby Klary, Filip siedział milczący w nogach jej łóżka, w owym wielkim pokoju którego ściany pokryte były staremi obiciami przedstawiającemi boginie napełniające czary wojowników.

Klara leżała na łóżku już od godziny, i nie odzyskawszy jeszcze przytomności rzucała się niespokojnie. Nareszcie otworzyła oczy, błędnem spojrzeniem szukając Filipa. Powstał prędko i pochylił się nad nią. Błogi uśmiech przesunął się po ustach Klary. Zdrową ręką objęła szyję męża i czule przyciągnęła go do siebie.

Scisła świadomość rzeczywistego stanu rzeczy nie wzbudziła się jeszcze w jej umyśle; zdawało jej się że jest jakąś nieziemską istotą, unoszącą się ku niebieskim przestrzeniom. Nie czuła bólu, nie cierpiała wcale. Ogarnęło ją jakieś rozkoszne uczucie nadziemskiej szczęśliwości.

Wyszeptała tak cicho że zaledwie Filip mógł dosłyszeć:

— Wszak ja umarłam, ukochany mój, umarłam aby ocalić ciebie?... Ach! jakżem szczęśliwa!... Uśmiechasz się do mnie... kochasz mnie! Jestem w twoich objęciach... Ach! jakże śmierć jest słodką!... jakaż to urocza, błogosławiona wieczność!

Nagle otrzeźwił ją silny ból w ręce i dźwięk własnego głosu. W tej chwili przypomniała sobie wszystko: straszny niepokój, rozpacz i poswięcenie swoje.

— Nie!... nie!... ja żyję!... ja cierpię!...

Odepchnęła Filipa, i wpatrując się w niego z niewysłowionym niepokojem i trwogą, jakby odpowiedź jego stanowić miała o jej życiu lub śmierci:

— Odpowiedz mi tylko jedno słowo, zawołała: Czy kochasz mnie?

Filip wskazał jej twarz promieniejącą upojeniem szczęścia:

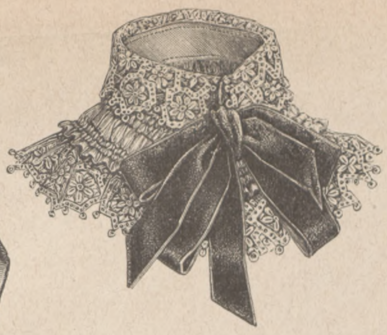
— O! tak, odrzekł, kocham cię, kocham! Było w tobie dwie kobiety. Jedna, która na tak straszne skazała mnie cierpienia—i ta już nie istnieje... Ty, jesteś tą drugą którą pokochałem od pierwszego wejrzenia i nigdy nie przestałem kochać i uwielbiać.

Klara krzyknęła, oczy jej zapełniły się łzami, gwałtownym uściskiem przyciągnęła do siebie pochylonego nad nią Filipa, i złączeni nadziemskiem uniesieniem, zamienili pierwszy pocałunek miłości.

KONIEC.



N. 1. Rękaw zdobny atłasem i koronką.



N. 3. Kołnierz chusteczkowy.



N. 5. Chusteczka z indyjskiego muślinu. Patrz ryc. 4.

N. 6. Żabot z aksamitu i koronki.



N. 4. Chusteczka z indyjskiego muślinu i koronki. Patrz ryc. 5.



N. 2. Rękaw oszyty koronką.

Opis do N. 52.

(Dokończenie).

N. 17. Szyfonjerka zdobna pomponami. Koszyczek pleciony z bronzowej trzcinki, 32 c. długi, 17 szeroki, z przykryciem zamykanem zastępuje dawne szyfonjerki i jest odpowiedni do zawieszenia w pokoju lub w powozie. Zwierzchnie przybranie stanowi plusz i pompony, tudzież wyszycie złotym sznureczkiem.



N. 7. Sukieneczka dla dziewczynki lat 3—5.

N. 18. Kołnierz marynarski z wyszyciem i koronką szydełkową, dla dziecka.

1 cent. szeroki obręb kołnierza z białej kanwy de congrés, przyszyty jest ściegiem krzyżykowym, niebieskiem jedwabiem, wyżej zaś dany szlaczek wyszyty jedwabiem niebieskim i ponsowym. Ryc. 17 w N. 51 przedstawia odpowiednią do oszycia brzegów koronkę szydełkową z torsadką nicianą.

N. 19. Kołnierz szeroki wykładany.

Szeroki, nakształt pelerynki kołnierzyk z kanwy de congrés, zakończony jest szerokim szlakiem haftowanym w maszynie, naśladującym wenecką gipiurę, który jest bardzo trwały w noszeniu i bardzo efektowny.

N. 22. Stanik ławetowy strojnie przybrany

Uszyty z jedwabnego repsu z przybraniem z aksamitu tego samego koloru i koronki 8 cent. szerokiej, ma baskinę z przodu ściętą w bawet, z tyłu zaś prostą, fałdowaną i odpowiedni jest do każdej suto przybranej spódnicy np. do ryci 23. Przybranie przodów składa się u góry z fałdowania 20 cent. długiego; poniżej zaś z trzech plis aksamitnych, naszytych w ząb, po 5 cent szerokich, przedzielanych drobniutkiem przemarszczeniem-zapięcie niewidoczne dane na haftki. Wykrój szyi wszyty w stojący kołnierzyk. Rękawy przybrane odpowiednio do przodów.



N. 8. Ubranie dla chłopczyka lat 4 5.

N. 24—27. Ręcznik z szerokiemi szlakami.

Ręcznik przedstawiony na ryc. 24 liczy 165 c. długości a 64 c. szerokości z frendzlą 2 i pół cent. szeroką; przyozdobienie stanowią szerokie szlaki wyszyte ściegiem krzyżykowym lub plecionym; ponsowym jedwabiem niekręconym. Ryc. 25 daje



N. 9—13. Ubrania na lekcye tańca.

N. 9. Sukienka z bluzką. N. 10. Suknia aksamitna z draperyą. N. 11. Sukieneczka bluzkowa z paskiem. N. 12. Sukienka princesse z paskiem. N. 13. Sukienka z draperyą nakształt szarfy.



N. 14. Haft na ściankę parawanika, ryc. 28 w N-rze 51.

deseń szlaku węższego, pas szerszy można dobrać z deseni podanych w ciągu roku. Tło ręcznika stanowi płótno średniej grubości,



N. 15. Ząbki szydełkowe.



N. 16. Wyszycie ściegiem tureckim do r. 32 w N-rze 51.

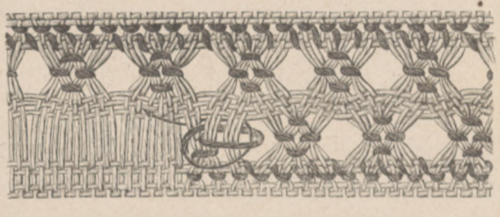


N. 17. Szyfonjerka.



N. 18 Kołnierz marynarski, dla dziecka Patrz koronkę ryc. 17 w N-rze 51.

szlaki mogą być wyszyte wprost na niem, lub też na oddzielnych kawałkach, które następnie łączą się w różny sposób, podług ryc. 26 i 27. Ryc. 26 wskazuje (w znacznem powiększeniu) sposób łączenia z brzegiem, odzierganym poprzednio w ząbki ze ściegów stopniowej długości; przyszycie dane okrętką z lewej strony. Na ryc. 27 brzegi obrobione szydełkiem, zesznurowane są jedwabnym sznureczkiem. Ponad szlakiem na tle ręcznika dane ozdobne litery znaczone krzyżykami.



N. 20. Wiązanie kratek, do ryc. 3 w N-rze 51.

N. 34. Ubranie wizytowe z hiszpańskim stanikiem.

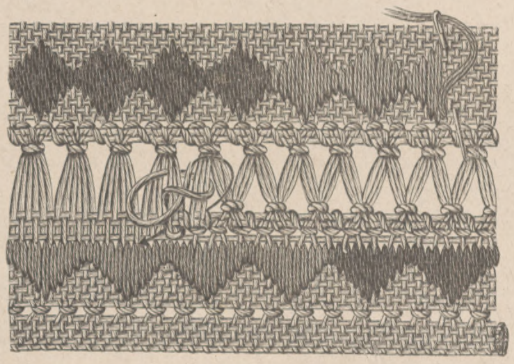
Podszewka dopasowywa się gładko z krótką baskiną, na niej zaś dodaje się fałdowane przody z indyjskiego muślinu u dołu podpięte à panier i oszyte szeroką koronką, dopełnione staniczkiem hiszpańskim z niebieskiej materyi, złączonym z przodu prostą patką. Plecy stanika mają krótkie fałdowane karoczko, spadające na upięcie z gładkiej materyi, dane na spódnicy adamaszkowej jedwabnej, ogarnirowanej sutą riuszą.

N. 35. Suknia z podpinaną suto draperyą i stanikiem huzarskim.

Stanik huzarski z aksamitu bordeaux, ze stojącym fałdowanym kołnierzem, zapięty na pentlice szmuklerskie, z brzegów oszyty plecionym sutaszem, włożony jest do spódnicy z blado żółtego indyjskiego kaszmiru, układanej w kontrafałdy. Na draperyę, suto podpinaną w bufy, stopniowo wyżej odstające, potrzeba dwóch brytów, zszytych z sobą, po 100 c. szerokich, 120 długich; tylne upięcie dane z oddzielnego prostego bryta. U dołu spódnicy dana falbaneczka z aksamitu koloru stanika.



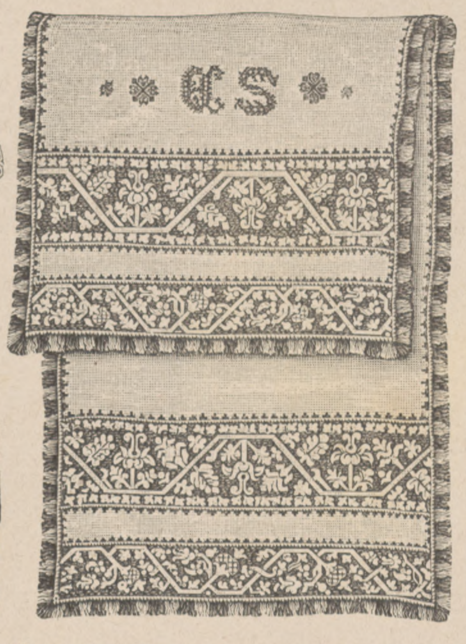
N. 19. Kołnierz okrągły z haftem, dla dziecka.



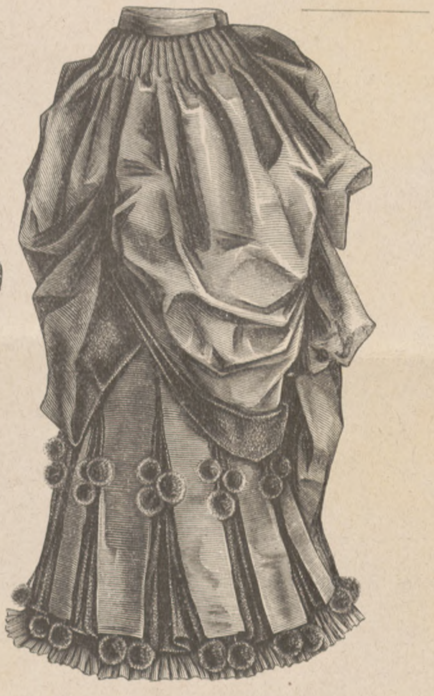
N. 21. Kratka i szlaczek do ryc. 3 w N-rze 51.



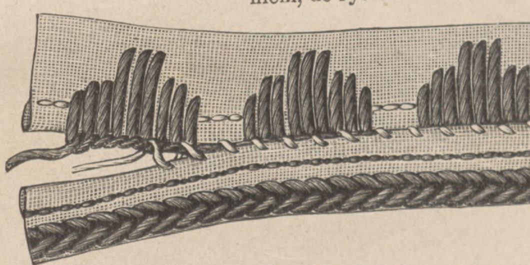
N. 22. Stanik bawetowy z przybraniem, do ryc. 23.



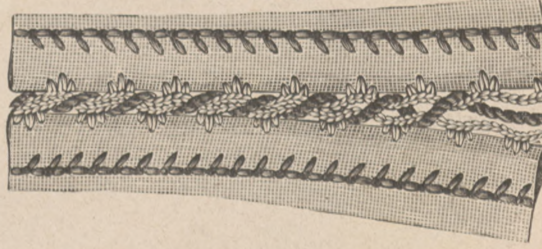
N. 24. Ręcznik ze szlakami. Patrz ryc. 25—27.



N. 23. Suknia z fałdowaniem aksamitnem i pomponami. Patrz ryc. 22 i ryc. 39—40 w N-rze 51.



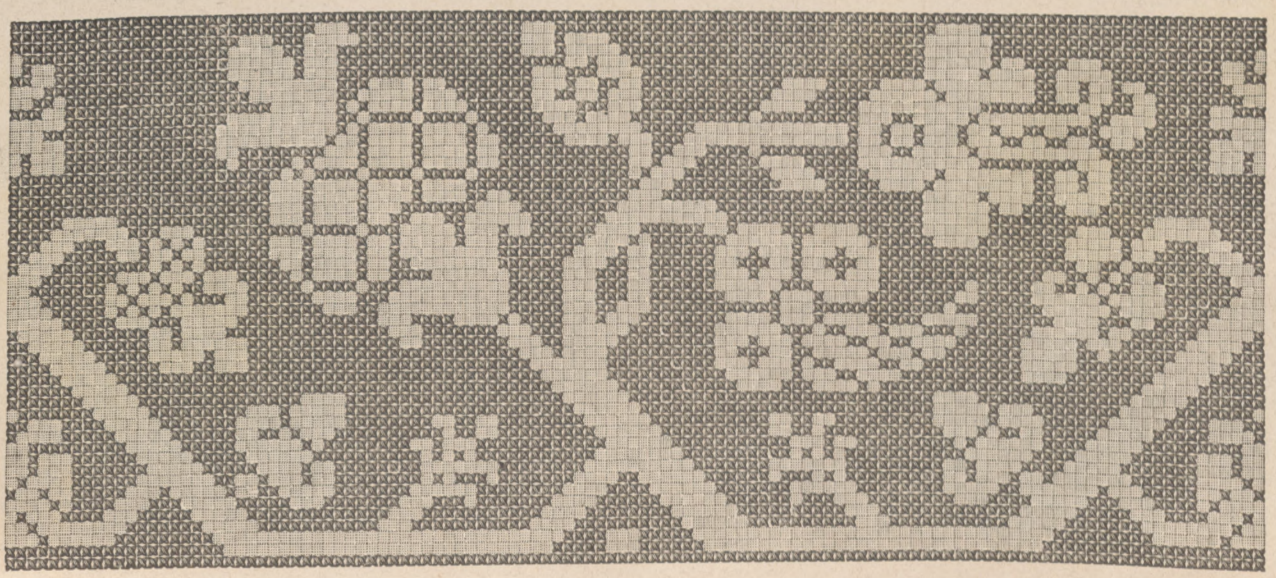
N. 26. Przyszycie szlaków do ręcznika ryc. 24.



N. 27. Sznurowanie szlaków do ręcznika ryc. 24.



N. 28. Plecy do r. 1 w N-rze 51.



N. 25. Szlak węższy do ręcznika ryc. 24.



N. 29. Plecy do r. 5.



N. 30. Uczesanie w pukle.



N. 32. Uczesanie z lokami.



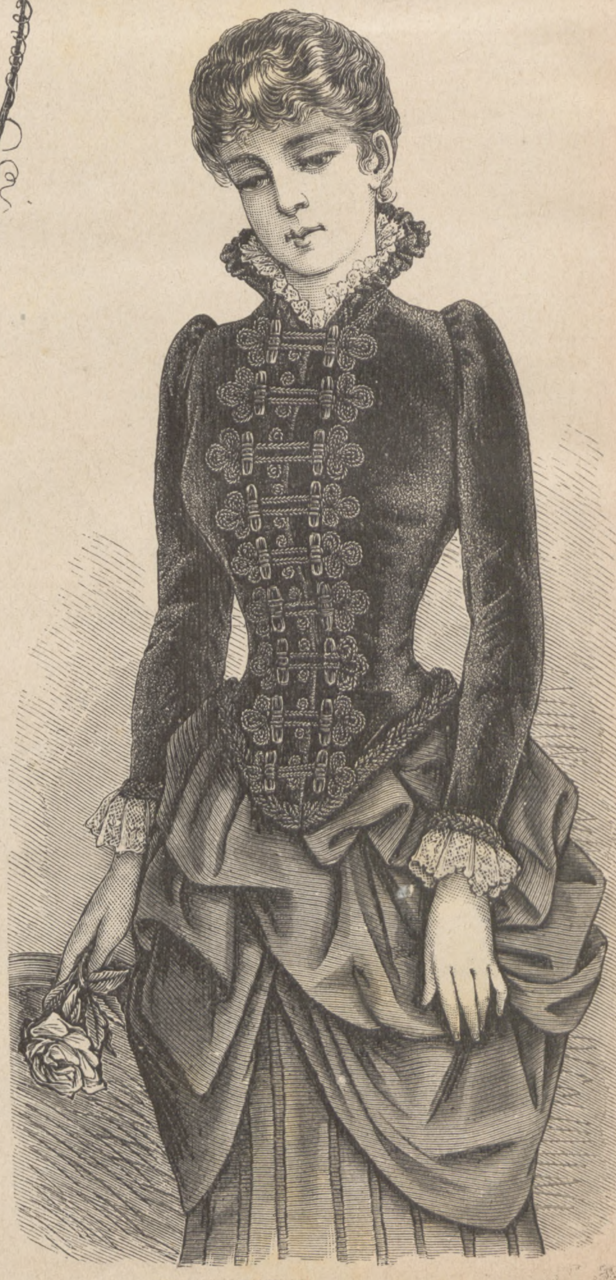
N. 33. Uczesanie z warkoczem spuszczonym.



N. 31. Ubranie głowy dla młodej mężatki.



N. 34. Ubranie strojne wizytowe z hiszpańskim kaftanikiem.



N. 35. Suknia z odmiennem stanikiem (hussarde).



Pl. 525.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.